Nasz Przyjaciel

Dodatek do „Drwęcy“.

Nr. 9. | Nowemiasto, sobota 28 lutego 1925. | Rok 2.

Ewangelja

św. Jana. rozdz. 19, wiersz 1-5.

W tenczas Piłat wziął Jezusa i ubiczował. A żołnierze uplótłszy koronę z ciernia włożyli na głowę Jego i szatą szkarłatową odziali. I przychodzili do Niego, a mówili: Witaj królu żydowski i dawali Mu policzki. Wyszedł tedy zasię Piłat przed ratusz i rzekł im: Oto Go wam wiodę przed ratusz, abyście poznali, że w Nim żadnej winy nie znajduję. Wyszedł tedy Jezus, niosąc koronę cierniową i szatę szkarłatową.

Nauka

I N. Postu.

Pan Jezus zezwala, że szatan zbliżyć się może do Niego i kusić Go w trojakim zamiarze: 1) aby nas pocieszyć 2) aby nas pouczyć i 3) aby nam wysłużyć łaskę.

Do Najśw. duszy P. Jezusa żadna pokusa dostępu nie miała, wewnętrznego pokoju zamącić nie mogła; pokusa szatańska była li tylko zewnętrzna. Inaczej ma się rzecz z nami.

Wskutek grzechu pierworodnego każdy z nas ma pewne złe skłonności, które już same w sobie są źródłem i przyczyną rozlicznych pokus. Tychto naszych złych skłonności czepiają się świat zepsuty i szatan. Złe skłonności z naszym rozwojem również rosną, a nie poskramiane wyrosnąć mogą na potęgę niszczycielską, która zdolna złamać życie nasze doczesne i wieczne. Zepsuty świat, zgorszenia świata wciskają się, wkradają w duszę, rozbudzają złe skłonności i wywołują gwałtowne pokusy. Również szatan — pośrednio przez świat działający, często też bezpośrednio oddziałuje na duszę, a podsyca te skłonności, które są najsilniejsze lub najmniej okiełznane.

Pokusy powstać mogą bez najmniejszej naszej winy, ale mogą być mniej lub więcej zawinione przez naszą nieostrożn. lekkom., albo nawet wskutek naszej złej woli. Zawinione pokusy oczywiście są mniejszym lub większym grzechem. zależnie od naszej winy, gatunku i stopnia pokuszenia. Niezawinione pokusy, mimowolne nie są jeszcze żadnym grzechem i nie będą grzechem, jeżeli je natychmiast, stanowczo i wytrwale zwalczamy, przeciwnie wytrwałe, stanowcze zwalczanie pokus z miłości ku Bogu przynosi nam wielkie zasługi, a wyrabia cnoty, bo cnota wyrobić się może przez walkę z przeciwnym błędem, z przeciwną złą skłonnością.

Pan Jezus dopuszcza pokusę, aby nas pocieszyć i dodać otuchy, abyśmy nie upadli na duchu, nie tracili odwagi, jeżeli nas napastują ciężkie pokusy, bo pokusa, choćby dni lub lata trwała, nie stanie się grzechem, jeżeli ją zwalczamy, jeżeli na nią się nie zgadzamy, przeciwnie przyczyni nam dużo zasług, jeżeli z miłości ku Bogu walczymy przeciw złemu. Jeżeli szatan śmiał się zbliżyć i kusić P. Jezusa, którego świętość poznawał, nie dziw, że nas tem śmielej nagabywać będzie, lecz nie przezwycięży nas, jeżeli ufność w Panu Jezusie pokładać i zwalczać pokusy będziemy.

A jak zwalczać pokusy?

Pokusę powstającą natychmiast zwalczać należy. Modlitwa i gorliwa praca są zwykłymi, skutecznymi sposobami. Poleca się po natychmiastowem odrzuceniu nie zwracać wcale uwagi na pokusę, wzgardzić nią, nie należy namyślać się, dlaczego taka pokusa nastąpiła, nie trzeba myśleć o treści pokusy. Wzbudzenie aktów wiary, nadziei i miłości, a zwł. miłości Boga i mocne postanowienie, za żadną cenę nie obrazić Boga, a potem pilne, uważne zajęcie się pracą, zwykle wystarczą na odrzucenie pokusy. Jeżeli nie czas po temu, by zająć się pracą, trzeba rozważać prawdy wieczne, rozmyślać o obecności Bożej, o śmierci, sądzie, piekle. Jeżeli powtarzają się pokusy zmysłowe, należy do modlitwy, rozmyślania o prawdach wiecznych i do pracy dołączyć umartwienia: post, odmówienie sobie tej lub owej przyjemności lub wygody.

Szatan może nas kusić, ale nie może nas zmusić do upodobania, do zezwolenia.

Pomnąc należy, że sami możemy być winni, iż pokusy powstają.

Oczy to okna, uszy to drzwi do duszy, przez które tak łatwo zło się wkrada.

Jeżeli pójdziesz na bezwstydne widowiska, jeżeli ciekawie patrzysz na nieskromne obrazy lub osoby, nieprzyzwoicie ubrane, jeżeli słuchasz nieskromnych mów lub nieprzyzwoitych pieśni, jeżeli chodzisz na przedstawienia bezwstydnych lub dwuznacznych przedstawień teatralnych, nie dziw się, że pokusy powstają; nie dziw się, że pokusy przychodzą, jeżeli czytasz książki nieprzyzwoitej lub dwuznacznej treści. Zbyt poufne

obcowanie z osobami innej płci napewno wywoła pokusy — a tańce, zwł. nieskromne, albo nadmierne sprowadzają zbyt często pokusy.

Dlatego czujność i ostrożność są konieczne. „Kto w niebezpieczeństwo idzie, wniem ginie" — dlatego „czuwajcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie. Nie ufaj sobie — bo zarozumiałość pierwszym jest krokiem do upadku, gdyż pysznym i zarozumiałym Bóg pomocy nie daje, lecz daje łaski pokornym i ostrożnym. X.

Szewc bogaty i ubogi.

W tym czasie, kiedy św. Jan Jałmużnik był patrjarchą Aleksanrji, zcarzyło się w tem wielkiem mieście następujące zdarzenie: W jednej ulicy mieszkali obok siebie dwaj szewcy. Jeden z nich miał bardzo liczną rodzicę, mimo tego, wzbogacał się z dnia na dzień. Inny, który tylko o sobie miał staranie i nawet w niedziele i święta pracował, ledwie mógł wyżyć.

Raz ten biedny szewc skarżył się bogatemu na swą nędzę i pytał, dlaczego jemu tak dobrze się powodzi. Ten odpowiedział: „Kochany przyjacielu, mam ukryty skarb, z którego co niedzielę i święto coś zaczerpnę".

Wtenczas prosił go ubogi, aby mu ten skarb wyjawił. Zamożny szewc zaprowadził go w najbliższą niedzielę do kościoła na Mszę św. Gdy wracali z kościoła, rzekł zamożny szewc: „Patrzaj przyjacielu! Tu, w kościele, jest mój skarb. Tym skarbem jest błogosławieństwo Boskie, na które sobie zasługuję słuchaniem Mszy św. Zabieraj sobie i ty swoją część w niedziele i święta. Wierz mi, że wielki Dawca ma dosyć dla nas oby wóch". — Kto Boga opuszcza, tego i Bóg opuszcza. Dlatego też kto w niedzielę pracuje, ten niczego się nie dorobi i nie może być szczęśliwym.

Powrót tatylejben

bałłady od Abrama Mycykiewicza.

Pójdżci mój dżatki, lećci wszystki w kupy
Za miastu, het za rogatki,
Tam szi popatrzci, co to ma szi znaczyć,
Co nima dotąd naszy drogi tatki.
Taty nie wraca choć już jest wieczoru,
Mamy tak tęskni za niegu,
I wy płakaci wszystki mój bachoru,
A jego nima. Dlaczego?
Słyszy to dżatki, pędzu wszystki w kupy
Het za rogatki warszawski,
Tam szi schowali za jakiś chałupy
I patrzą z okim niebieski.
Starszy Abramciu coś mruczy pod nosa,
Mały Różuńcia szi krzywi,
Srulciu zyz Mojsim skrobi szi do włosa,
Kużdyn szi niecierpliwi.
Wtem słychać krzyku, wóz jedzi na drogi,
Na wozu człowieku tam szedzi,
Skokniły bachory i krzyczy jak mogi:
„Tatylejben nasz jedzi!"
Taty zyz woza na ziemi wylizał,
Patrzy zyz twarzem bladegu,
„Kto was tu przysłał, do choroby ciężki,
Zabieraj jeden z drugiegu!"
Abramku trasnił kułakim trzy raza,
Srulcia za włosy tyrmosił,
Mojszi oberwał dwa klapsy po twarza,
Różuńcia szi tylko wyprosił.
Abramciu płaczy, Srulciu aż zachodzi,
Różuńcia z Mojszim uczeka,
Bachory krzyku narobili taki,
Aż piesy z chałupów zaszczeka.
„Ruszajci! — Taty do dżeci zawoła, —
„Ja z wozym jadę do miastu".
Jedżi... aż ludzi obskoczą mu wkoło,
A ludziów był kilkunastu.....
Pyski ich chudy, kręcony wąsiska,
Wzrok dżyki, portki z łatami,
Palce wyłaził z podarte buciska,
Kapelusz był z zgiętym kryzami.
Krzyknęli dżatki, do taty przybieżył
Za chałat szi jegu zakryli,
Nastraszył taty aż mu włos szi zjeżył,
Ale zakrzyknił w tej chwili:
„Co chceci łajdaki? Dla was tu nic nie ma!
„To mój kartofłu, buraki!
„Ni róbci harmidyr, bo ja ni wytrzymam
„I buchnym którego z kułakim!"
Nie słucha zgraja, ten na wóz wydrapał,
Czagni już worku na plecy,
Drugi znów jakiś buraki zabira,
Inny szi szmieju jak z hecy...
Wtem: „Stójcie hołoty!" — ktoś zacznił pyskować,
I począł wyrzucić kużdego —
„Ja tylko mam prawo towar konfiskować,
Bo jestem ajent od tego"!.
Taty przelęknił, patrzy na ten człowik,
Zyz strachu zatrzęsił mu nogi;
Coś wepchnił mu w łapy, a un mu odpowi:
„Jedźcie już dalej bez trwogi!".
Taty dziękuje, a un na to rzekni:
„Ni dziękuj, ty masz mądry główka,
„Pierwszybym towar skonfiskował taki,
„Gdyby ni twoja łapówka,
„Ona sprawiła, że jedziesz bez szkody,
„Darzy wolnościm i zdrowim,
„Jej tylko podziękuj za to, co szi stało,
„A jak szi stało, opowim:
„Zdawna na szwiatu, jak wojna szalela,
„Drożyzna rośni — i bida,
„Zyć trudno człowieku, trzeba kraść szi uczyć,
„Kto nie chcy zdechnić jak gnida.
„Dzisiaj ja idę, patrzę na gościńca
Idą twój dżeci przez drogi,
„Kużdyn ma nogi, ma dobry bucika,
„A ja swój kupić ni mogi...—
„Patrzę: paskudny przyszły na myśl strony,
„Laska upadła mi z ręki...—
„Ach! ja mam żonę i u mojej żony,
„Jest taki bachor maleńki.,
„Jedź dalej w miastu, ja uczekać muszę,
„Bo siedzić ni mam ja wcale gustu.
„I powim ci teraz... ja ni żadyn ajent
„A tylko prosty oszustu"... —

Złote ziarna mądrości.

W młodości przejmujemy się wszystkiem tem, co wielkie, szlachetne. Jedna myśl piękna staje się odrazu własnością ogółu młodzieży, bo młode serca to jak ziemia, spragniona deszczu. Spieszyć się trzeba z siejbą, bo zamiast ziarna wyda chwast.

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

9) przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

V.

Na rozstajnych drogach.

Burza na koniec ustala; poszła sobie na bo-ry i łasy. Mikołaj wypytał się Jędzy o drogę do Krakowa i po obiedzie, który głównie Leszek sprzątnął, jak gdyby od trzech dni co najmniej nic nie jadł, puścił się w drogę.

— Bądźcie zdrowi dziedzicu, mówiła Jędza stojąc na schodkach i żegnając odjeżdżających, — a miejcie mnie w swej pamięci. Jak przybędziecie do rozstajnych dróg, weźcie się na lewo, a stamtąd już prosto, jak strzelił do Krakowa. A na rozstajnych drogach zróbcie krzyżyk na piersi, bo tam wisielec jest pochowany. Niech was Bóg prowadzi.

Odjechali już, a ona stała jeszcze w swej białej sukmance z włosem rozwianym i chudą ręką podniesioną do góry, jakieś znaki w powietrzu robiła.

Po burzy niebo się szybko wyjaśniło i złote słońce znowu się ukazało. W lesie powietrze było świeże, z liści krople deszczu, błyszczące pod światło rażącym blaskiem, z głośnym pluskiem spadały na ziemię.

Cała puszcza szemrała radośnie i brzmiała teraz wesołym świergotem ptactwa. Co chwilę rozlegał się głos kukułki i ginął żałosnem echem w oddali. Na słońce, którego promienie przedzierając się przez liście dębów padały na murawę, wypełzały gdzieś z ukrycia wielkie czarne robaki i cieszyły się ciepłem i życiem. Wąskie liście jaworów chwiały się, a smutna osiczyna drżała dreszczem radości. Po niedawnym upale teraz w chłodzie dnia letniego, wszystko zdawało się odżywiać, nabierać nowych sił i nowych nadziei.

Konie pod jeźdźcami parskały wesoło i żwawo posuwały się po rozmiękłym, błotnistym gościńcu. Rycerz jechał jak zawsze milczący, za to Leszek gadał, poddychając głęboko:

— Uf! no, nie ma co, najadłem się do syta. Prosiak był przedni i soporek też niczego. Jajecznica, palce lizać! Fiu! fiu! baba sobie dobrze jada, połeć słoniny ma i ślicznie okrasiła nią jajecznicę. Skwarków to się odjeść nie mogłem. Dobra babina, ani słowa, choć ją Jędzą nazywają. Bodaj się takie Jędze na kamieniach rodziły. Dała mi kawał szperki na drogę, zjem ją sobie, jak miniemy rozstajne drogi.

Zamyślił się trochę, poruszył na siodle i gadał dalej.

— Po kiego licha ludzie urządzają rozstajne drogi? chyba po to, żeby się na nich błąkać, i żeby wisielców chować. Powiadają też, że zły najbardziej lubi na rozstajnych drogach siadać. Uf! najadłem się, ani słowa. Jajecznica ze skwarkami była wyborna.

Tak sobie gadał, wlokąc się z tyłu za swym milczącym panem i na sen mu się zbierało. Las szumiał tak jednostajnie, pszczoły po lipach brzęczały, koń szedł wolnym miarowym krokiem, że oczy mu się same kleiły. Z razu otrząsał się jak mógł, zrywał się co chwilę i mrucząc pod nosem jajecznicy ze skwarkami, zasypiał znowu, aż w końcu zasnął zupełnie. Kiwał się szkaradnie, kołysał w takt stępa końskiego, pochylał się aż na łęk siodła, prostował znowu, ale spał.

Obudziło go nagle zatrzymanie się konia. Roztworzył oczy, przetarł je ręką i mrucząc nieprzytomnie: „ani słowa" skwarki i soporek były przednie, ocknął się na koniec zupełnie i spojrzał dokoła. Byli na polu, na nowinie wykarczowanej widać niedawno, bo pełno jeszcze pni, zasianej żytem, które się kołysało jak fala wodna.

Pólko to, mające może ze dwa stajania, otaczał dokoła las. Widać było białą korę brzóz, złotowo-zielone ich liście zwieszające się ku ziemi, pękate lipy, bijące ku niebu koroną swych zębatych liści, ogromne klony i brzozy smutne. Znajdowali się na rozstajnych drogach, na zetknięciu się których postawiony był ociosany siekierą, omszały od starości krzyż sosnowy. Za krzyżem nieco na uboczu, tuż pod wielkim bukiem, którego gałęzie sięgały prawie ziemi leżało kilkanaście dużych kamieni i stos suchych gałęzi wszelkiego rodzaju.

Aha! mruknął Leszek, to tam wisielca pochowali.

I przeżegnał się nabożnie.

Ale co go najbardziej zdziwiło, to że pod krzyżem na wielkim głazie, zielonym prawie od mchu, siedział jakiś rycerz w sukni modrej, na której miał koszulkę drucianą, w obcisł. spodniach żółtych, w takichże ciżmach z nosami zakrzywionymi do góry i z mieczem w ręku. Na głowie rycerz ten miał szyszak stalowy z podniesioną przyłbicą.

Był to młody człowiek, z krótką jasną brodą, z twarzą okrągłą i rumianą. Za nim stali dwaj giermkowie, jaskrawo ubrani i trzymali cztery dzielne bulane konie. Jeden z tych koni obładowany był całkowitą zbroją łuskową, a do jego siodła przywiązany był prześliczny hełm złocisty z ogromnym pióropuszem, a raczej grzebieniem zrobionym z różnobarwnych paciorków szklannych, nadzianych na druty. Obok rycerza stała oparta o głaz długa tarcza, na czerwono pomalowana, na której widny był znak rycerski, przedstawiający głowę wołu z kółkiem przez nozdrza przeciągniętem. Rycerz siedział sobie spokojnie i przypatrywał się ciekawie dużemi, niebieskiemi oczyma Mikołajowi i Leszkowi.

Ten ostatni jeszcze się bardziej zdziwił, gdy spojrzał na swego pana. Ten spuścił bowiem na twarz przyłbicę i siedział nieruchomy i milczący na koniu, jak gdyby lękał się odezwać, nawet głosem zdradzić. Trwało to przez chwilę, nakoniec nieznajomy rycerz podniósł się z kamienia i rzekł głosem męskim i na pół wesołym:

— Cny rycerzu, Pan Bóg mi cię zesłał, bo oto siedzę tu już od rana, całą burzę przetrzymałem i nie wiem, którędy jechać do Krakowa. Suszę się teraz na słońcu i czekam zmiłowania Boskiego, bo inaczej przyjdzie mi chyba zamrzeć z głodu i utrapienia w tej puszczy.

Przez chwilę panowało milczenie, jak gdyby Mikołaj namyślał się co ma odpowiedzieć nakoniec spytał;

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

Kto sfałszował telegram?

Sfałszowany telegram skłonił cesarza austryjackiego, Franciszka Józefa do wypowiedzenia wojny Serbji w lipcu 1914 roku. Pułkownik Seliger, który wówczas był szefem biura prasowego przy ministerstwie wojny, ogłasza rewelacje te w jednej z gazet wiedeńskich.

Seliger twierdzi, że Franciszek Józef Podpisał wypowiedzenie wojny niechętnie i pod silnym naciskiem doradców. Do podpisu skłonił go ostatecznie hrabia Bertchold, minister spraw zagranicznych, który pokazał cesarzowi telegram donoszący, iż Serbowie wpadli na terytorjum Bośni i w walce zabili 400 żołnierzy austryjackich.

Cesarz miał wtedy powiedzieć: „Jeżeli tyle krwi przelano już, w takim razie wojna jest nieunikniona."

Zaraz na drugi dzień hrabia Kinski, dworzanin cesarski, poinformował pułkownika Seligera, że telegram, który Bertchold pokazywał cesarzowi, był sfałszowany i że w rzeczywistości tylko czterech Austryjaków zginęło w utarczce nad granicą bośniacką. Kto jednak sfałszował telegram niewiadomo.

Słoń zakochany w czarnem dziewczęciu.

Jakkolwiek afrykańska Liberja jest niezależną republiką murzyńską, jednakże mieszkają w niej młode księżniczki, które przyjaźnią się z ogromnymi słoniami i płoną czasem podzwrotnikową miłością do białych kawalerów.

Mała księżniczka nazywała się Krystyna i w trzeciem pokoleniu była już chrześcijanką, jako podarunek chrzestny otrzymała ogromnego białego słonia, który zwał się Bob. Był on dziwnie łaskawy, bardzo zmyślny i przywiązany do ludzi. Lubił on szczególnie małą księżniczkę Krystynę, bo mu znosiła łakocie i bardzo czule umiała go pieścić. Tak się raz złożyły sprawy, że mała księżniczka postanowiła opuścić swą ojczyznę zwłaszcza, że niejaki mister John, agent angielskiej firmy handlowej miał poślubić 15-letnią piękność liberyjską, a za otrzymany posag miał otworzyć w Londynie hotel i restaurację dla murzynów.

Celem powiększenia kapitału zakładowego słoń Bob został sprzedany za 100 angielskich funtów jakiemuś nieznanemu przedstawicielowi cyrku, czy menażerji. Upłynęło kilka tygodni i młode małżeństwo po zlikwidowaniu swych interesów wyruszyło w drogę do Europy.

Mr. John miał do załatwienia jakieś ważne zlecenia firmy, dla której pracował w Saidzie. Chcąc zrobić żonie przyjemność, zabrał ją ze sobą do cyrku, gdzie jako jeden z numerów programu pokazywano tresowanego słonia. Zaledwie olbrzym ukazał się na widowni, mała księżniczka nie mogła stłumić wrażenia, jakie wywarło na nią ukazanie się towarzysza lat dziecięcych.

— Bob, mój drogi Bob — wyrwało się z jej piersi.

Na ten okrzyk słoń nastroszył uszy, wbił swe przenikliwe źrenice w zebranych widzów, a zobaczywszy Krystynę w jednym z dalszych rzędów, wyłamał potężnem szarpnięciem trąby żelazną kratę i nie dbając na okrzyki publiczności przestraszonej, puścił się pędem ku swej przyjaciółce. Można wyobrazić sobie popłoch wśród widzów.

Mr. John zaszedł słoniowi drogę, chcąc go zawrócić z powrotem do klatki. Widok jednak sprawcy rozłąki z ukochaną księżniczką napełnił słonia nieopisaną wściekłością. Porwał go w trąbę i cisnął z taką siłą o ścianę, iż biednemu Johnowi złamał obie nogi i żebra. Po załatwieniu się w ten sposób z przeciwnikiem, słoń doszedł do Krystyny i wydając radosne chrząkania, przykląkł u jej nóg, oczekując dawno nieznanych pieszczot.

Kopanie djamentów w Kanadzie.

Angielskie stowarzyszenie dla rozwoju nauki odbywa swe zebrania i omawia ciekawe kwestje naukowe. Między innymi uczony dr. Kunz z New-Jorku stwierdza, że w pokładach z epoki lodowej w stanach Ohio Iuchiana, Michigou i Wiscousia odnaleziono przeszło 100 djamentów. Dr. Kunz odkrył, że te djamenty zostały przyniesione z odłamkami skał przez lodowce z Kanady, gdzie bez wątpienia znajdować się powinny całe kopalnie djamentów.

Odłamki skaliste, w których odnaleziono djamenty, są podobne do skał znajdujących się w obfitości w rozmaityah częściach stanu Ontario. Jeden z djamentów, znalezionych w Ameryce ważył 17 karatów i znaleziono go przy kopaniu studni w Wiscousinie. Przeszło sto innych djamentów znaleziono w warstwach zaniesionych w okresie lodowym z Kanady.

W Ontario w żwirze odnaleziono djament trzydziesto karatowy.

Bez wątpienia kopalnie djamentów egzystują w pewnych częściach Kanady i przez uważne badaniekierinku na niesionych warstw przez lodowce półnoecy można odnaleźć punkta, gdzie te kopalnie znajdować się powinny. Wszystkie kopalnie djamentów w świecie nie obejmują więcej nad cztery mile.

W swoim ruchu południowym lodowce musiały opierać się o powierzchnię pól djamentowych zabierać z sobą djamenty pozostawiając je na przestrzeni tysięcy mil.

Wesoły kącik.

Złe czasy

— Serwus, Antek!
— Złam nogę.
— Cóżeś tak skrzywiony?
— Ot czasy,
— Co? Pech miałeś?
— A niech pierony.
— Gadejże,
— Stał ci facet, taki fajn panisko...
— I co?
— Ta co? Zachodzę mu ostrożnie, blisko, wsadzam ci łapę do kieszeni.....
— A w kieszeni dziura.....
— Gdybyż to. Dzisiaj człowiek mało gdzie co wskóra.
— No więc?
— Facet ci jucha z okazji korzysta i ściąga mi pierścień z palca.
— Aj do trzysta! A to czasy.
— Coraz lepsze.....
— Ha, no! Jest nadzieja, że władza przed — „panami" będzie strzedz — złodzieja.